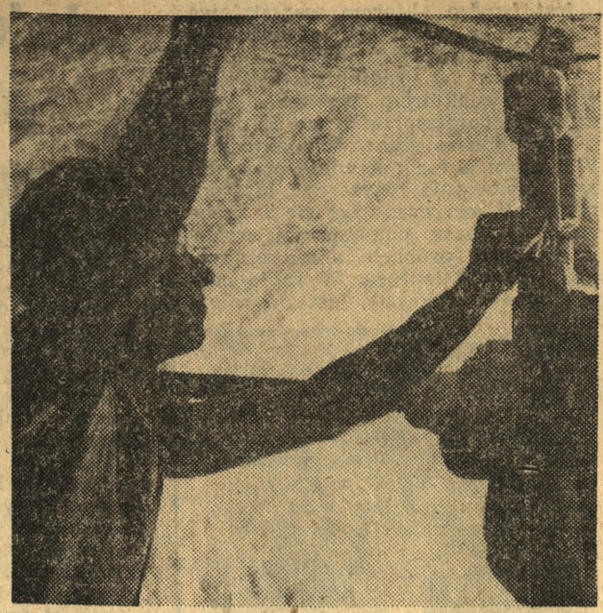


„Nie ślaskie to „pie-
rony”, ale tutejsze
„pyry” — poznaliśmy,
równie jak tamci
pracowici”.

Fot. — CAF



Zbiłut Sęk

Historia zapisana solą i węglem

Historia jest krótka, lecz obfitująca w wydarzenia, w których przypadek grał niepoślednią rolę, dając początek sensacyjnym wydarzeniom. — Gdzie tu miejsce na sensację — powiecie — skoro mowa o wielkopolskim górnictwie. A jednak — postuchajcie. Kilkanaście tysięcy naszych górników ma okazję do jubileuszu, który dowodzi, że oni byli już w Wielkopolsce sto lat temu. Podpowiadam ten fakt, bo to miło wiedzieć, że ma się — skromne, bo skromne, ale zawsze ubiegłowieczne — tradycję.

Pierwsza była sól

Zaczął się od gipsu. Już w połowie XIX wieku wydobywano go systemem odkrywkowym na terenie Wapna w dzisiejszym wawrońskim powiecie. Była to więc pierwsza (biała) odkrywka w naszym regionie. Podczas tego kopaliska natrafiono pod gipsem na głądy solanki. W 1869 r. założono w Wapnie pierwszy otwór wiertniczy, który stał się protoplastą późniejszych nowoczesnych poszukiwań górniczych, jakie się rozwinęły, zwłaszcza podczas minionych 20 lat; był też zaczątkiem głębiny kopalni w Wapnie.

Długo jednak przyszło czekać na pierwszą wielkopolską sól. Dopiero w 1911 r. założono kopalnię, a eksploatacja soli trwa w Wapnie dopiero od 50 lat. Dobre czasy dla górników nastały po roku czterdziestym piątym: wydobyte było wówczas dwukrotnie większe, a ostatnio, w związku z oddaniem do użytku nowych podziemnych terenów eksploatacji, sięga już w Wapnie 400 000 ton, jest więc ponad 6-krotnie większe niż przed wojną.

Nasza sól ma szczęście do przypadków, bo inny z kolei dał początek kopalni w Kłodawie. Wiercenia w tym rejonie rozpoczęto w 1948 r., w poszukiwaniu naft. Jednak już w pierwszym otworze natrafiono na sól, w dodatku potasową. Jeszcze kilka lat odkrycie to pozostawało na mapie zasobów mineralnych kraju, zanim w 1955 r. rozpoczęto bliżej rozpoznawać bogactwo Kłodawy. Nie obyło się bez innych, już przykrych, niespodzianek geologicznych, które uprzedzały o trudach budowy. Kapryśna matka ziemia w tektonicznych skurczach swej skorupy pofałdowała osad solny, utrudniając wydobywanie. Łudząc na początek mirażem bogactwa potasu. Soli kamienną było tu jednak dosyć, toteż w obliczu nieuchronnej starczej renty Wieliczki i Bochni, podjęto decyzję budowy. Tak w 1958 r. wyrósł kolejny szyb w drugiej głębiny kopalni w Wielkopolsce.

Kłodawa zaczyna już grać poważną rolę w kopalnictwie soli, której potrzebuje krajowy konsument, zagranica i przemysł chemiczny. Wraz z Wapnem stworzyła ona silny tandem wydobywczy, dający krajowi ponad połowę ogólnego urobku soli, a za kilkanaście lat stanie się bez mała monopolistą; prawie dwa miliony ton — w 1980 r., stanowić będzie 90 proc. produkcji krajowej. Także sól potasowa doczeka się zapewne chwili, gdy sięgnie po nią ręka górnika.

Odkrywki jak z taśmy

Wielkopolskie górnictwo urozmaiciło szybko swą śnieżną barwę o brunatność konińskiej węgla. Ta historia bierze początek ledwie z minionego dziesięciolecia. Jakże jednak bogata jest w wydarzenia i — złota, którymi obficie obsypano konińską ziemię, aby wydała ze swego łona to, co ma najcenniejszego. Węgiel brunatny wydobywano tu już w czasie minionej wojny. Dzisiaj można oprowadzać wycieczki po

Morzysławiu, gdzie obrosłe trawą pagóry i niecki-kretowiska dają świadectwo ówczesnemu prymitywowi eksploatacji. Niesłusz był pierwszą większą odkrywką, dzisiaj wyeksploatowaną. Dała ona w ciągu lat 1953—61 tyle węgla, ile przynosi dzisiaj w ciągu roku Pątnów.

Gosławice (1957 r.) są jednak właściwym początkiem konińskiej historii górnictwa. To już były nowoczesne metody wydobywania. Dzisiaj Gosławice kończą karierę, jaką zrobiły służąc tamtejszej elektrowni. Obie były wielkim prototypem górnictwa odkrywkowego w Polsce i opartej na nim bazy energetycznej.

Odtąd przyzwyczajano nas do patosu wielkich przemian i liczb, realizując w szybkim tempie górnictwo inwestycyjne. W 1957 r. rozpoczęła się budowa odkrywki Pątnów, oddanej w pięć lat później. W 1959 r. Turek zaczął być sławny dzięki kolejnym prototypom Adamowa, nowej kopalni. Powstawała ona na lichej ziemi, której oblicze miało przybrać nowy wyraz, dzięki wspólniejszej technice i pomysłowości naszych inżynierów, taśmociągów, koparek i niebosiężne zwałowarki zmieniły tu sielski krajobraz. W pięć lat później ruszyły w pobliżu Turku turbiny, dając pierwszą energię elektryczną z Adamowa. Budowa kolejnej odkrywki kopalni Konin w Kazimierzu trwała już tylko trzy lata, rok krócej niż to przewidywał mało tolerancyjny plan inwestycji. Na Barbórkę w 1965 r. wypełniły się taśmociągi kazimierzowskiemu węglem, sunąc na żer kotłowi elektrowni gosławickiej. A znów rok wcześniej rozpoczęła się budowa następnej odkrywki konińskiej — w Józwinie. Będzie ona następną z „taśm” produkcyjnej. Potem przyjdzie czas na drugą stronę Kazimierza.

NASZ GÓRNICZY STAN

Romantyka wielkich liczb

Węgiel wyciska dziś piętno w rejonie Turku i Konina. Już obecnie daje tam pracę ponad 10 000 górników, tworzy bazę paliwową elektrowni: Adamów, Gosławice i Pątnów, za którymi stać ma potężna siła 2400 megawatów. Ta energia przyciąga inne inwestycje: hutę aluminium, walcownię blach aluminiowych, a więc nowy przemysł ciężki na wielkopolskiej ziemi.

Kosztowne to są poczynania, pochłonięły dotychczas kilkanaście miliardów złotych. A przecież to nie koniec inwestycji, buduje się nową odkrywkę w Józwinie, mon tuje turbogeneratory w przyszłej elektrowni Pątnów. Tylko w tej pięciolatce wyda się na budownictwo przemysłowe w rejonie Konina i Turku 12,5 mld zł, które powodują konieczność uzupełnienia o inwestycje towarzyszące przemysłowi — w dziedzinie rolnictwa, transportu, handlu i gospodarki komunalnej, w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego, oświaty, zdrowia i kultury. Wartość tych inwestycji wyniesie dalsze 4 mld zł. W następnej z kolei pięciolatce wydatki na podobne cele będą niewiele mniejsze. Wszystko zdziwia w tym rejonie właśnie węgiel. I choć za 40 lat mogą się wyczerpać znane obecnie zasoby brunatnego paliwa, wprowadzi on na trwałe nowe gałęzie przemysłu, jakie dopiero teraz zaczynają się rozwijać w Koninie i Turku. One to będą później kształtować gospodarczą przyszłość i tego rejonu i całej Wielkopolski.

Uprzytomnijmy sobie, że początek tak głębokim, strukturalnym przemianom dała praca naszych górników. Nie ślaskie to „pierony”, ale tutejsze „pyry” — poznaliśmy, równie jak tamci — pracowici.

Ziemia skrywa jeszcze różne swe tajemnice, choćby więc zabrakło w konińskim rejonie węgla, być może dostrzeżemy jeszcze do potasu, nowego węgla czy wielkiej ropy. To pewne, że Barbórka na dobre zagościła już w Wielkopolsce.

Feliks Biłos

DYMISJA DLA NUDY

Zapadł już wczesny listopadowy wieczór, gdy znalazłem się przed zagrodą Kosowskich w Wilkowicach pod Leszkiem. Poprzez gęstniejący mrok przebiegała biel otynkowanych ścian domu, okoloną sadem i ogródkiem ze zwiedzionymi kwiatami. Całość zabudowań ogrodzona od frontu solidną siatką sprawiała wrażenie dodatnie, świadcząc o poczuciu ładu i chyba zamożności właścicieli.

Drzwi otworzyła dziewczyna w farmerkach, wpuszczonych za wysokie gumowe buty.

— Proszę się nie dziwić mojemu „modnemu” ubraniu. W gospodarstwie nie można inaczej. Praca od wczesnego rana do późnego wieczora — jeśli chce się zrobić wszystko jak należy.

Słowa mojej rozmówczyni zdradzały jej wesołe usposobienie i niepowściągniętą na wsi swobodę bycia. Milka — takie imię ma nasza znajoma — jest przewodniczącą miejscowego koła ZMW. Pracuje wraz z rodzicami na 7-hektarowym gospodarstwie, które może poszczycić się wynikami na skalę duńską czy holenderską. Liczba bydła i trzody, w odpowiednim przeliczeniu, jest tutaj czterokrotnie większa od średniej krajowej, a plony zbóż — dwukrotnie. Zaś o kulturze codziennego życia świadczą solidnie umeblowane mieszkanie, radio z adapterem, bieżąca woda w kuchni i oborze z własnego hydroforu oraz różne maszyny ułatwiające pracę w polu i w zagrodzie.

Gospodarstwo ma wyraźnie charakter hodowlano-zbożowy. W rodzinie istnieje swoisty podział pracy: ojciec jest „szefem” produkcji roślinnej, matka zajmuje się domem, sprawując z pomocą małej Helenki pieczę nad drobiem i chlewnią. Milka przejęła oborę. Prowadzi ją ze wszystkich szukaniami nowoczesnej, bezgruźliczej hodowli, pod nadzorem weterynaryjnym oraz specjalistów ze Związku Hodowców Bydła i Spółdzielczości Mleczarskiej. W oborze stoją: 5 wysokomlecznych krów, trzy jałowki, dwa byczki o eksportowej wadze i dwie cieliczki. Z gospodarstwa Kosowskich do punktu skupu trafiają co roku dwie-trzy opasowe sztuki bydła i średnio 20 bekoni. Ponadto wychodzi stąd doskonały materiał hodowlany, o który zabiegają PGR-y i spółdzielnie produkcyjne.

— Ja wiem, że zawód rolnika jest wciąż mało doceniany przez młodzież — powiada Milka — zarówno z miasta jak i ze wsi. Ale mnie niewiele to obchodzi. Uważam, że jest równie dobry, jak każdy inny. Dlatego śmiesz mnie postawa tych gospodarstwach córki i synów, którzy po skończeniu zawodówki lub liceum zadzierają nosa, uważając się za coś lepszego. Rolnictwo nie jest dla mnie złym urządzeniem losu. W szkole uczyłam się dobrze i mogłam kształcić się w jakimkolwiek kierunku. Jeśli kiedyś marzyłam o czymś innym, to tylko o lotnictwie. Może to wydaje się niepoważne, ale ja naprawdę pragnęłam zostać pilotką.

Słuchając tego, oglądałam wiszące na ścianie oprawy w ramki dyplomy.

— Ten pierwszy — słyszę wyjaśnienie — otrzymałam za zajęcie I miejsca w zespole PR. Był to początek mojej zawodowej edukacji, zanim jeszcze powstała w Wilkowicach szkoła przysposobienia rolniczego. Środkowy, to duma taty. Otrzymał go za wzorowe wywiązywanie z zobowiązań wobec państwa. Trzeci dyplom uzyskałam niedawno wraz z nagrodą pieniężną za zajęcie II miejsca w powiecie w dostawach mleka. A to jest mój najnowszy „dyplom”.

Mówiąc to, Milka wyjęła z szafy balową sukienkę.

— To nagroda za „Anusie”. Tak nazywa się moja ulubiona cieliczka, wyróżniona ostatnio przez Związek Hodowców Bydła. Bo u nas każde zwierzę ma swoje imię i swoją historię. Najmłodszy cielaczek nazywa się „Filutek”.

Milka mówi, że kiedyś strasznie chciała być chłopcem. W czasie gdy koleżanki bawiły się lalkami, ona biegała po polu za koi, wdrapując się na wyładowane sianem lub snopami wozy. Jeszcze i dziś, będąc dorodną panną, zazdrości po trochu znaczenia, jakie przysługuje na wsi męskiemu rodzajowi. Może właśnie dlatego tyle w niej energii, zdecydowania i różnorodności zainteresowań. Jest gospodynią w każdym calu, umiejąca żyć, gotować, robić zaprawy i przetwory; może też w każdej chwili ująć kierownicę samochodu lub sięgnąć na „wufemce” do miasta.

Teraz zamierza zdobyć uprawnienie do prowadzenia ciągnika. Kurs taki ma zorganizować w najbliższym czasie Zarząd Powiatowy ZMW. Mówi, że to bardzo ważne dla gospodarstwa zwłaszcza teraz, gdy brat odszedł do wojska. Dotychczas pracował on jako traktorzysta w miejscowym kółku rolniczym, więc z terminowością usług nie było kłopotu. Ale obecnie nie można na to liczyć. Kółko ma wprawdzie 10 ciągników, lecz trudno mu się dochować własnych, solidnych traktorzystów. Podobno rolnicy z prawem jazdy na traktor będą mieli możliwość wypożyczać kółkowy sprzęt do pracy na własnym polu. Stąd też tak pilno Milce do tego kursu i egzaminu.

Nasza znajoma twierdzi, że nie ona jedna we wsi może poszczycić się dobrymi wynikami gospodarowania. Nieźle radzi sobie np. Jurek Wojciechowski — samodzielny rolnik, kolega Milki z SPR-owskiej ławy. A już wyjątkową dzielność wykazują siostry Przezbór, które po śmierci ojca wzięły w swoje ręce ster gospodarstwa. Same, bez męskiej pomocy, zaorają, zasiewają jak należy, wszystko zrobią w terminie i wzorowo, znajdując jeszcze czas na pracę w organizacji młodzieżowej.

W towarzystwie mojej „farmerki”, która po zamianie roboczego uniformu na sukienkę przekształciła się w barwnego motyla, udaję się do miejscowego klubu. Grupa młodzieży oczekiwała przy adapterze na zakończenie jakiegoś zebrania. Część z nich uczęszcza do leszczyńskich szkół, inni pracują w gospodarstwach, są traktorzystami, pracownikami instytucji handlowych i usługowych. Wieczorem gromadzą się w klubo-kawiarni, roztrząsają sprawy szkolne, organizacyjne, zawodowe, obejrzą film lub przedstawienie telewizyjne.

Soboty i niedziele przeznaczone są na wieczorki taneczne, a jeden dzień w miesiącu na kurs oświatowo-polityczny. Prowadzi go nauczyciel Albin Szablewski — entuzjasta sportu i opiekun miejscowego koła LZS. Od wiosny do jesieni „odchodzi” na boisku siatkówka i piłka nożna; zimą musi wystarczać tenis stołowy. Jest też zespół muzyczny o dźwięcznej nazwie „Serenada”, kierowany przez nauczyciela Marię Steżycką. Wspólnie z zespołem szkolnym umila on lokalne imprezy i uroczystości. Obecnie omawia się wstępne propozycje wystawienia sztuki teatralnej. Dziewczęta krążą się wokół zorganizowania przy Ośrodku Nowoczesnej Gospodyni — bo i taki w tej wsi się znajduje — kursu pieczenia.

Nie ma więc w Wilkowicach czasu na nudę w zimowe wieczory. Nie ma też oglądania się na „światła wielkiego miasta”. Tutejsza młodzież codzienną pracą i postawą wykazuje, że na wsi można żyć ciekawie, nowoczesnie i kulturalnie.

Przyznam, że w gruncie rzeczy nie doceniałem dotychczas „Marcinka”. Zaproszenie do udziału w wyjeździe z „Marcinkiem” na Węgry, na III Orszagos Bábajétkos Napok, czyli na festiwal teatryków marionetkowych w Pecs, przyjąłem jednak chętnie, jako sposobność odbycia ciekawej wycieczki zagranicę. Na atrakcyjności turystycznej nie należało mi się zawodzić, ale dodatkową, niespodziewaną przyjemnością było branie udziału w sukcesach, jakie odnosił nasz poznański zespół marionetkowy. Bliższe przyjrzenie się jego pracy, metodom jakimi pracuje oraz możliwość jego oceny na tle innych, nieraz bardzo interesujących zespołów.

Pecs jest miastem pod względem turystycznym bardzo atrakcyjnym. Położony na silnie sfalowanym terenie, u stóp pasma górskiego Mecsek, ma urodę miejscowości podgórskiej. Jego uliczki to pna się w górę, to spadają malowniczymi zakamarami. Chłubi się długim już istnieniem. Początkami swymi sięga czasów rzymskich, przetrwał szczęśliwie najazdy Hunnów i długie panowanie tureckie, ale burze dziejowe szczęśliwie go jakoś omijały, nie przeżywał większych zniszczeń, dzięki czemu jego zabudowa przed

stawia bardzo szeroki wachlarz epok i stylów: od fragmentów budowli z czasów rzymskich z IV wieku, przez zabytkowe meczety tureckie, kościoły romańskie, zabytkowe domy z okresu gotyku, po bogatą reprezentowaną w starszych dzielnicach secesję i architekturę ultranowoczesną w nowych z dużym tempem rozbudowujących się dzielnicach. Trudno nie wspomnieć o

ciatorem i głównym organizatorem Festiwalu. Ponieważ gościł on już kiedyś w Poznaniu, nasz zespół spotkał tu starych znajomych i przyjaciół o wspólnych zainteresowaniach, na tym nieznanym terenie nie czuł się bynajmniej obco.

Gościnni gospodarze chcąc nam pięciodniowy pobyt w Pecs uatrakcyjnić, ulokowali polski zespół w hotelu „Fenyves”, położonym na sto-

Tadeusz Kraszewski

Z „Marcinkiem” w Pecs

wielkiej chlubie Pecs, uniwersytecie, założonym tu przez Ludwika Wielkiego, ojca naszej królowej Jadwigi. Jest przecież ten uniwersytet jakby młodszym bratem naszego Wszechnicy Jagiellońskiej.

O umiejscowieniu w Pecs festiwalu marionetkowego zdecydowały zapewne nie tyle jego walory turystyczne, ile to że pracują tu dwa amatorskie zespoły kukielkowe. Jeden z nich pn. „Bóbita” pod kierownictwem Lajosa Kosza był in-

ku jednej z gór Mecseku, na wysokości 550 metrów nad miastem, a w odległości dwu kilometrów od śródmieścia i teatru. Komunikacja była dość uciążliwa, ale trudności te rekompensował fantastyczny widok z hotelowego balkonu: rozległa panorama Pecs w otoczeniu ciemnej zieleni rosnących tu gęsto kanadyjskich sosn. Wieczorami mieliśmy u stóp prawdziwą feerię światła: szeregi latarni ulicznych, oświetlone okna domów mieszkalnych,

Przeciw izolacji — za współczesnością

Henryka Machalica poprosiliśmy o rozmowę z dwóch powodów. Pierwszy dość oczywisty — aby porozmawiać z wybitnym aktorem, móc przekazać jego opinie czytelnikowi. Drugi — aby dowiedzieć się, co słychać w poznańskim SPATiFie, Stowarzyszeniu Polskich Artystów Teatru i Filmu, którego prezesem został Henryk Machalica przed kilkoma tygodniami. Pierwsze pytania kieruję więc do naszego rozmówcy jako prezesa, następne już wyłącznie do aktora — odtwórcy m. in. ról Pankracego w „Nieboskiej Komedii”, Wielczanina w „Wiecznym małżonku” Dostojewskiego, de Sade'a w sztuce Peter Weissa, Tytusa w „Berenice” Racine'a, Fajunina w „Najeździe” Leonowa na poznańskiej scenie.

— Podstawowym zadaniem naszego stowarzyszenia — mówi Henryk Machalica — jest obecnie zapoznawanie społeczeństwa z podstawowymi problemami środowiska aktorów. Jako stowarzyszenie aktorskie jesteśmy właściwie bardzo mało znani, niewiele osób uczęszczających nawet do teatru wie w ogóle, co się kryje za literami skrótu SPATiF. Naszym zadaniem jest także reprezentowanie na zewnątrz środowiska aktorskiego Poznania i teatrów w województwie wobec społeczeństwa i władz. Chcemy wyjść z pewnej izolacji społecznej, w której znajdują się w społeczeństwie aktorzy, obracający się głównie w swoim zamkniętym klanie.

— W czym widzi Pan przyczynę tej izolacji?

— Przede wszystkim w specyfice pracy, w aktorskim rozkładzie dnia pracy. Aktorzy nie prowadzą właściwie żadnego prawie życia towarzyskiego. Wtedy gdy wszyscy inni znajdują czas na wizyty, rozrywki kulturalne, życie klubowe, my właśnie pracujemy. Przedpołudniami natomiast są próby. Ten tryb życia nie ułatwia bliższych kontaktów społecznych. Oczywiście są i inne powody. Poza tym prace stowarzyszenia utrudniał dotąd brak właściwej bazy lokalowej. Zajmowaliśmy, potrzebny zresztą teatrów na garderoby dla aktorów, mały pokój w Teatrze Nowym. Ostatnio Prezydium Rady Narodowej postarało się dla nas o nowy, lepszy lokal w Pałacu Kultury. Wiele sobie po nim obiecujemy.

Chcemy tam urządzić coś w rodzaju klubu aktorskiego. Pragniemy nawiązać kontakty z innymi środowiskami twórczymi Poznania. Chcemy wnieść pewien wkład w dzieło integracji tych środowisk.

— W jakim repertuarze — to pytanie kieruję już nie do prezesa, lecz do aktora — czuje się Pan najlepiej?

— W dobrych rolach. Nie mam jakiejś wymarzonej, wielkiej roli. Każda może być tą największą, każda w jakimś sensie jest dobra, rozwija aktora, jeśli tylko rzetelnie się nad nią pracuje. Najbliższy jednak jest mi chyba repertuar reprezentujący realizm psychologiczny w literaturze dramatycznej. Te sztuki i

CIĘKAWI LUDZIE CIĘKAWY SPRAWY

role, które w możliwie najpełniejszy sposób pozwalają wyrazić dramat ludzkiej egzystencji.

— Powiedział Pan „dobre role”, co Pan przez to rozumie?

— Oczywiście, moja aktorska ocena „dobrej roli” musi być bardzo subiektywna. Dobra rola dla aktora, to ta, która jest najbliższa jego własnej konstrukcji psychofizycznej. To zbieżność pewnych cech fizycznych i psychicznych postaci ze sztuki i grającym ją aktorem. Do tego dochodzi często osobisty stosunek do postaci, to coś, co w niej aktora urzeka, fascynuje lub też doprowadza do konfliktu. Sam przeżywałem tego typu konflikt. Przygotowywałem adaptację „Trismusa” Grochowiaka. Chciałem w niej zagrać Niemca, hitlerowca, komendanta obozu. Postać odpychająca, zniechęcająca. Nie mogłem jednak w interpretacji aktorskiej zrezygnować z ludzkich cech, w jakie wyposażał tę postać autor, a więc: w miłość do żony, w przekonanie o słuszności swego postępowania, w wiarę w głoszone idee albowiem bez tego rola musiałaby stać się papierowa, blada, obraz człowieka byłby niepełny. Zrezygnowałem z niej, nie zagrałem.

— Często słyszymy Pana w słuchówkach radiowych, w Teatrze Polskiego Radia. Spotkałem się już z poglądem, że praca w Radio

jest bardzo aktorem warsztatowo potrzebna, że wiele im daje. Co Pan sądzi na ten temat?

— Praca w radio rzeczywiście wiele daje aktorom. Wzbogaca warsztat interpretatorski o to, co nazywamy roboczo gotowością aktorską. W teatrze aktor ma wiele czasu na zaproponowanie reżyserowi interpretacji roli, ma czas żyć się z kreowaną postacią, pogłębić jej zrozumienie na próbach analitycznych, pomóc sobie lekturą. W radio cały ten proces skrócony jest do mini-



Henryk Machalica

Fot. — H. Kamza

mum. Trzeba umieć szybko skoncentrować się nad otrzymaną rolą i zaproponować gotową postać. Zdobycie tego stopnia gotowości aktorskiej bardzo często okazuje się potem przydatne w teatrze, w pracy nad rolą.

— Trwa obecnie na łamach prasy i w teatralnych kuluarach nowa dyskusja o repertuarze. Co sądzi Pan o współczesności w naszym teatrze, o samej tematyce naszych spektakli?

— Myślę, że za mało jest tej współczesności. Za mało problemów dnia dzisiejszego, i tych wielkich i tych małych, często banalnych, a ważnych, określających nasze życie. Może w tym należałoby również dopatrywać się przyczyn pewnego zobojętnienia widza na teatr. Chciałbym znaleźć we współczesnej dramaturgii więcej afirmacji naszych codziennych, często wystydliwie skrywanych poczynań, albowiem bez nich obraz naszej współczesności jest po prostu niepełny.

Rozmawiał:

OLGIERD BŁAŻEWICZ

„Jak kromka pachnącego polskiego chleba...”

Na miesięcznik „Nasza Ojczyzna” zawsze czekam niecierpliwie i zawsze mam jakieś dziwne wrażenie, jakbym otrzymał coś bardzo bliskiego i swojskiego, jakby mi — zgłodniałemu — moja matka podawała kromkę pachnącego, świeżego polskiego chleba z makiem...

Być może zabrzmią komuś przesadnym patosem te słowa — i niesłusznie, bo nie fałszywa poetyckość je dyktuje ale prawdziwa miłość i tęsknota do kraju młodości, do miejsca najbliższego — do Ojczyzny. Piszą więc ze wszystkich krajów świata Polacy niewprawnym często piśmem swoje listy, piszą do rodzin, do najbliższych, a także do redakcji pism polskich, które do nich docierają, pism wydawanych często specjalnie z myślą właśnie o nich i będących podstawowym łącznikiem między nimi i Polską, informujących rzeczowo i obiektywnie, podtrzymujących kontakt z językiem.

„Nasza Ojczyzna” jest jednym z kilku wydawanych przez P. A. Interpress dla Polonii Zagranicznej pism. Co miesiąc wędruje w świat ponad 20 tys. jej egzemplarzy, niosąc na 44 stronach (w tym 12 str. — wkładka w języku angielskim) rzetelną porcję informacji o Polsce, o jej kulturze, gospodarce, polityce itd. Pewna ilość egzemplarzy „Naszej Ojczyzny” kolportowana jest także w kraju. Warto przy okazji wziąć w rękę to pismo — i to nie tylko po to, aby dowiedzieć się co proponujemy do czytania naszym Rodakom za granicą, ale by samemu z zainteresowaniem przeczytać interesujące reportaże i informacje, obejrzeć stojące na wysokim poziomie artystycznym i poligraficznym zdjęcia i rysunki.

Oto choćby najnowszy numer grudniowy „Naszej Ojczyzny”. Obok wielu form drobnych, takich jak wiersze, ciekawostki, notki z różnych dziedzin, przepisy kulinarne itd. uwagę czytelnika niezawodnie przyciągnie ilustrowany świetnymi zdjęciami Jana Hattowskiego reportaż o przydrożnych kapliczkach w Polsce piora Kiri Gałczyńskiej, artykuł S. J. Wilczyńskiego o wyprawie Leonida Teligi na S/Y „Opty”, foto-reportaż z produkcji i odsłonięcia Pomnika Powstańców Śląskich i wiele innych. (Interpress)

Mieczysław Skąpski

FILM

Nie tylko dla dzieci

„WŁÓCZĘGI PÓŁNOCY” — film produkcji amerykańsko-kanadyjskiej. Scenariusz (wg powieści Jamesa O. Curwooda): Ralph Wright i Winston Hibler. Reżyseria: Jack Couffer i Don Haldane. Zdjęcia: L. Beebe, J. Couffer, R. Jewell, W. W. Bacon, D. Wilder. Wykonawcy: André — Jean Coutu, Jacques Lebeau — Emile Genest, Makoki — Uriel Luft, Durante — Robert Rivard oraz Miki, pies eskimoski i Niua, niedźwiedź.

Właśnie mija rok od śmierci Walta Disneya, reżysera, rysownika, producenta filmowego, organizatora różnicowanej produkcji rozrywkowej (książki, zabawki, płyty), twórca słynnego lunaparku Disneyland. W rzeczy samej człowiek ten zaproponował nową formułę rozrywki i wprowadził ją w życie — w skali masowej. W latach dwudziestych rozpoczął swoje serie krótkich filmów rysunkowych, powołał do życia kaczora Donalda, myszkę Mickey, psa Pluto, pod koniec lat trzydziestych rozpoczął serię długometrażowych filmów rysunkowych, którą zapoczątkowała „Królewna Śnieżka”. Od roku 1950 datują się disneyowskie filmy przyrodnicze, jak „Żyjąca pustynia”, „Ginąca preria” i inne. Potem przyszła kolej na fabularne filmy przyrodnicze łączące dokument z partiami fikcji. Te i inne dziedziny działania Disneya sprawiły, że stał się ulubieńcem młodzieżowej części ludzkości (część starsza też zawsze oglądała jego twórczość, co najmniej ukradkiem).

„Włóczęgi północy” należą do ostatniego z wymienionych gatunków. Jak wszystkie przyrodnicze filmy Disneya i ten potraktowany został w jego części dokumentalnej z ogromną pieczołowitością i nakładem pracy. Oczywiście, zdjęcia były kręcone w północnej Kanadzie, tam gdzie Miki i Niua w śnieżce Curwooda odbywali swe dramatyczne wędrówki. Jak zwykle w tych filmach i tutaj urzekająca strona są zdjęcia — tchnące autentyzmem, dosko-

nie, kolorowe. Można sobie wyobrazić ogrom pracy, jakiej wymagało wyuczenie roli małego psiaka i niedźwiedzia. Już od urodzenia przeznaczono ich do tych ról. No ale mimo tak wczesnych przygotowań, sceny, w których Miki i Niua na jednym rzemieniu wędrują przez puszcze, musiały być bardzo trudne w realizacji. Będą też zrozumiałe podziwy. Podobnie jak sceny walki Miki z jeleniem albo jego pierwsze polowania, gdy został sam, po zapadnięciu Niua w sen zimowy. Są to ujęcia fenomenalne, wydaje się wprost niewiarygodne, aby te zdjęcia były robione w naturze.

Tak jednak jest. Pamiętajmy, że niektóre filmy przyrodnicze Disneya były robione po kilka lat, przy czym najwięcej czasu zabierało zawsze czyszczenie operatorów na sposobność zrobienia atrakcyjnych ujęć zwierząt w ich naturalnych siedliskach. Tutaj zaś trzeba było kręcić film zgodnie z harmonogramem narzuconym przez Curwooda: przygody małych bohaterów trwały cały rok od wiosny do wiosny, odpowiednio do tego musza rosnąć Miki i Niua, odpowiednio musi się zmieniać otoczenie, krajobraz.

To właśnie pozwala nam poznać piękno kanadyjskiej puszczy we wszystkich porach roku. Każdy, kto kocha przyrodę, wyniesie z tego filmu niezapomniane wrażenia, każdy, kto kocha zwierzęta, zaprzyjaźni się na długo z eskimoskim pieskiem i niedźwiedziem.

Jak zwykle w tego typu filmach wstępujący tam ludzie zdają się nam obcym ciałem, kiepsko harmonizują z otoczeniem, wydają się ogromnie sztuczni, jacyś operatorowi, nierozjemni. I tutaj jest podobnie. Wyraźnie nieudane aktorskie te role. Ale darujemy sobie „ludzkie” partie, nie one bowiem decydują o wartościach rozrywkowych i poznawczych tego filmu, który na pewno znajdzie wielu zwolenników, nie tylko wśród dzieci.

Dokończenie ze str. 1

węgierskim programy zapoznawały widzów z treścią prezentowanych sztuk. Treść satyrycznej sztuki Majakowskiego była dość dobrze znana publiczności, a nasz zespół, specjalnie na występy w Pecs przygotował kilka wesołych fragmentów w języku węgierskim. Nasi aktorzy mieli z tym wiele kłopotu, ale podobno ich węgierszczyzna była zupełnie poprawna, a efekt — znakomity.

Gdy W. Barcik, jako Czudakow i W. Wiczorkiewicz, jako Welocypedkin recytowali wiersz Majakowskiego po węgiersku, sala zareagowała natychmiast szmerkiem zrozumienia i wybuchami oklasków. Jako członek ekipy polskiej miałem przyjemność po przedstawieniu zbierać różnorodne gratulacje. Opinie były wręcz entuzjastyczne. Czułem się, jak solenizant.

Z „Marcinkiem” w Pecs

Również widowisko „O Kasi, co gaski zrubila”, które było poprzedzane streszczeniami akcji przed każdą częścią, przyjęte zostało bardzo gorąco, zarówno przez uczestników festiwalu i obojczyści oficjalni, które wyjątkowo licznie zaszczycały nasze przedstawienia, jak i przez dzieci szkolne, dla których specjalnie zostało ono powtórzone. Dużą część sukcesu można tu przypisać bardzo efektownej scenografii, której autorka jest dyrektorka „Marcinka” — L. Serafinowicz. Zmieniające się często obrazy szopki, osrebrzone szczyty gór, srebrny las, w którym krwawy wilk ukrywa stadko gasek, owieczki na halach, strzeżone przez ruchliwego Burka, górskie wózki, jadące z pa radą przez wieś — wszystko to dało barwne i bogate tło dla nieskom-

plikowanej akcji, rozgrywającej się w folklorystycznej oprawie, przemawiało zrozumiale do zachwyconego widza.

Od siebie dodam, że zarówno spektakl „Łaźni”, którą widziałem poprzednio w Poznaniu na jubileuszowym, pięćdziesiątym przedstawieniu, jak też „Kasia”, na której premierze byłem niedawno, o wiele bardziej podobały mi się przy powtórnym oglądaniu. Wydaje mi się, że grane były z większą starannością i zapamiętaniem. Przyczyniła się do tego niewątpliwie emocja festiwalowa i doping konkurencji. W każdym razie „Marcinkowy” występ w Pecs uznać można za bardzo udany. Pol skie marionetkarstwo zaprezentowane zostało godnie.

TADEUSZ KRASZEWSKI

czycieli. Dyskusja w „Tygodniku Kulturalnym” toczyła się pod hasłem:

JAKI JESTEŚ NAUCZYCIELU?

Maria Łopatkowa występuje na rzecz stopniowego likwidowania podziału społeczeństwa na tzw. społeczników i resztę.

„Wydaje mi się — stwierdza — że jeżeli nasze społeczeństwo chcemy nazywać społeczeństwem socjalistycznym, jeżeli mamy zarysowany model człowieka współczesnego naszego obozu i jeżeli w tym modelu jedną z najważniejszych cech jest zaangażowanie społeczne, to chyba z tego wynika prosty wniosek, że musimy dobrać takie metody i takie bodźce, tak stworzyć atmosferę, żeby wszystkich ludzi — nie mówię o wyjątkach — cechowała postawa społeczna. Dlatego musimy pomyśleć nad tym, w jaki sposób zaszczyć potrzebę tej społecznej działalności, w jaki sposób ukształtować nawyk społecznego reagowania. Jest to wprawdzie zadanie bardzo trudne i na pewno długofalowe, długodystansowe, ale trzeba do tego zmie-

Nie wszyscy dyskutanci wzięli pod uwagę (tak przynajmniej wynika z ogłoszonego stenogramu dyskusji) te sugestie. Niemniej jednak poruszono sporo ważkich problemów, dla których „Tygodnik Kulturalny” pozostawia nadal otwarte swoje łamy. Odpowiadając zaś na pytanie „Jaki jesteś nauczycielem?” Jan Wojciechowski tak odpowiada:

„Moim zdaniem — w wielu wypadkach jest to działacz z wyboru, z sercem, ale chyba częściej — trochę działacz także

z nakazu, może delikatniej: z sugestii. To nie najlepiej, choć też nie podzielam zdania tych, którzy domagają się całkowitego zdjęcia z nauczyciela obowiązku pracy społecznej, działania społecznego w środowisku. Potrzeba takiego działania istnieje, tylko niech to działanie będzie rozłożone równomiernie na wszystkich.”

W dyskusji „Tygodnika” zdecydowanie uznano potrzebę społecznego działania nauczycieli w środowisku, także poza szkołą, choć podkreślano z naciskiem, że głównym obowiązkiem nauczyciela jest rzetelna nauka i wychowanie. Większość dyskutantów podkreślała, iż wielu nauczycieli angażujących się w działalność społeczną ma tę pracę za dużo, szarpając się ze sprawami, którymi zajmować się mają inni. Obok tej grupy są też nauczyciele, którzy nie chcą podejmować żadnej pracy społecznej poza szkołą. Padło wreszcie sporo krytycznych uwag pod adresem pozostałej inteligencji wiejskiej, która często nie angażuje się w problemy środowiska.

I znowu te uwagi można odnieść nie tylko do nauczycieli. Dlatego nie można tych spraw pomijać milczeniem, no i dobrze by było nie ograniczać się tylko do dyskusji.

Próbę odpowiedzi tym, którzy dyskutują o innych problemach związanych ze szkołą i nauczycielem, podjął Mikołaj Kozakiewicz na łamach „Głosu Nauczycielskiego”, publikując artykuł pt.

KŁOPOTY NIE TYLKO NASZE

Z obfitości materiałów krytycznych o naszym szkolnictwie można by wyciągnąć wniosek, że w Polsce znajdujemy się w sytuacji wręcz krytycznej pod względem przygotowania zawodowego nauczycieli i efektów osiągniętych przez nich w pracy. Kozakiewicz postanowił sięgnąć do materiałów porównawczych i opinii międzynarodowych ekspertów, aby stwierdzić, czy pewne ujemne zjawiska szkolne nie mają przyczyn szerszych, czy nie tkwią w osobliwościach rozwoju cywilizacji współczesnej.

Oto okazuje się, że spośród 91 krajów badanych w ankiecie UNESCO tylko 8 przyznało, iż ma zupełną, choć nietrwałą, równowagę między podażą i popytem nauczycieli. Międzynarodowa lista specjalności nauczycielskich, w których najostrejsze występuje brak nauczycieli, kształtuje się podobnie jak u nas w kraju.

Za jedno ze źródeł słabości pracy wychowawczej uważa się czasami u nas feminizację zawodu nauczycielskiego, tymczasem odesłtek kobiet w polskich zakładach kształcenia nauczycieli wynosi 78 procent, w Danii zaś — 100 proc., w Holandii — 100 proc., w Czechosłowacji — 98 proc., w Portugalii — 89 proc., we Włoszech — 85 proc., w Rumunii — 82 proc., w Belgii — 67 proc., w Austrii — 63 proc., w Jugosławii — 60 proc.

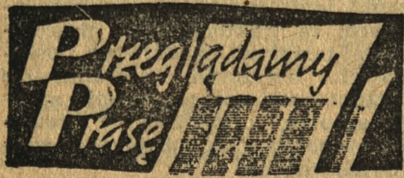
Inna sprawa, to skargi na jakościowy poziom szkół średnich i wyższych. Tak, tylko takie skargi usłyszeć można w różnych krajach, zwłaszcza w tych, gdzie — jak u nas — wydłużono czas obowiązkowego kształcenia. Teraz bowiem i w

szkolnictwie średnim znajduje się tam cała lub znaczna większość młodzieży, a nie — jak poprzednio — tylko wyselekcjonowana część. Wobec tego i przeciętny poziom szkół staje się niższy.

„Nie wiem, czy zawarte tutaj uwagi — pisze Kozakiewicz — podziały na czytelnika pokrzepiająco, jako że pociecha z faktu, iż inni mają kłopoty nie mniejsze od naszych, jest prawde mówiąc — pociecha dość słaba. Szereg trudności i słabości, za które krytykuje się dzisiaj nauczyciela — ma więc charakter trudności obiektywnych, uwikłanych w przemiany cywilizacyjne społeczne w ogóle. Czy jednak wszystkie? Na pewno nie. Czy nie możemy sami wielu rzeczom zaradzić? Na pewno tak.”

— Poza tym chcemy zwrócić uwagę czytelników na liczne publikacje o „górnikach”. Wiesław Szynder-Głowacki przygląda się w „Życiu Gospodarczym” 600-letniej rzeszy górników w pracy i poetyce. W „Polityce” Andrzej Konieczny w szkicu pt. „Renard — Stalin — Sosnowiec” pisze o historii kopalni „Sosnowiec”. W „Kulturze” znajdujemy kilka publikacji o podjętej przez Śląsk inicjatywie przebudowy śródmieścia wielu górnictwa, zwłaszcza Katowic. Tenże tygodnik drukuje fragmenty referatu dyrektora Instytutu Zachodniego prof. dr. Władysława Markiewicza pt. „Nauka o stosunkach międzynarodowych”. „Żołnierz Polski” rozpoczyna druk sensacyjnej noweli Andrzeja Zbycha o przygodach wywiadowczych majora Klossa, a więc o tych przygodach, które dopiero w roku przyszłym oglądać będziemy mogli na ekranach telewizorów.

LEKTOR



„Osobiście marzę o takich czasach, w których nie dawaliśmy odznaczeń, premii, nagród za zwykłą działalność społeczną, ponieważ ta działalność byłaby w ramach zwykłego obowiązku, za wykonywanie którego nie daje się nagród. Dopiero w sytuacjach, w których przekracza się granice ludzkich powinności, a są takie sytuacje, jak np. ratowanie człowieka z narażeniem życia — potrzebne jest wyróżnienie. Dopiero wówczas praca społeczna przestaje być ciężką niekiedy dla ludzi. Bo wielu działaczy społecznych nie zawsze działała tylko dlatego, że to im sprawia przyjemność. Czasem działacz społeczny ma tyle funkcji dlatego, że tak mało jest chętnych do działania.”

To stwierdzenie Marii Łopatkowej padło w dyskusji Społecznej Rady Redakcyjnej „Tygodnika Kulturalnego” na temat kontrowersyjnego problemu społecznego zaangażowania nauczycieli i ich roli w środowisku, zwłaszcza w porównaniu z resztą inteligencji. Ale stwierdzenie to można odnieść z powodzeniem przecież nie tylko do nau-